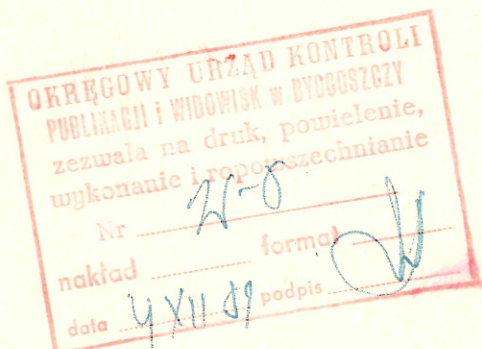


Jerzy Sulima-Kamiński

6.12.81

Red. Literacka

16,05 - 17,30



" Powrót z tańców "

Ojciec pojawił się któregoś dnia tuż przed godziną policyjną. Zadzwonił jak obcy i wszedł jak lunatyk. - Nie mam kluczy - powiedział, a przecież odszedł on nas z kluczami. Szedł wzdłuż ciemnego korytarza, aż natknął się na drzwi do sypialki, rymnął czołem czy butem w malowane, potem zawrócił, zdjął marynarkę i po omacku szukał haka na wieszaku. Zachowywał się jak człowiek w nieznanym sobie miejscu, albo jak ślepiec. Poszedł do kuchni i klapnął na krzesło. Siedział tak z rękami wciśniętymi między kolana i kiwał się do przodu i do tyłu. Ciężar głowy pociągał za sobą tułów ojca. I tak wahał się jak kręgiel tracony kulą, że ani mógł upaść, ani stać. Ten człowiek na krześle był tylko trochę moim ojcem, a trochę kimś obcym i przerażającym. Kimś, kogo się wstydziłem i z kim nie chciałem mieć nic wspólnego. Naprawdę, trudno było rozpoznać w tym niechlujnym, porośniętym wielodniowym zarostem człowieku mojego ojca, byłego kontrtorpedowego marynarza willusiowej floty, potem funkcjonariusza policji wodnej, tajnej i porządkowej. Człowieka, który miał u Bucholca czterech ludzi pod sobą, a każdy z nich uzbrojony w dziewięciopistoletowego waltera, bronił pod jego komendą garbarni, miasta i Polski. Nie mogłem dopatrzeć się w tej skurczonej, zwiędłej postaci przyszłego ordynata przyszłej ordynacji bo co jest przecież oczywiste, po wojnie, jak nastanie u nas monarchia król Radziwiłł I. zwróci nam nasze dobra zabrane niegdyś przez mściwego Fryca IVgo. Nie, ten ktoś skłaniający się na kuchennym krześle, człowiek z wydartym rękawem koszuli, w westce z poobry

wanymi guzikami, w butach bez sznurowadeł, nie nadawał się ani na
mojego ojca, ani na dziedzica Wichorza, Cepna i Wabcza. Ta cudza
osoba nie wzbudzała we mnie zaufania i nie wywoływała litości.

Cofnąłem się o kilka kroków ku drzwiom, i ten mój skryty w
zamyśle manewr, ta chęć ucieczki, została przez tego kogoś zauważona
i skomentowana.

- Tjaaa, synu... nie poznajesz ~~szęka~~ mnie?...

Wtedy ~~runąłem~~ do przodu, prosto w objęcia ojca. Głos. Tak, to
był głos mojego ojca! Nikt obcy nie mógł podszyć się pod brzmienie
tego głosu, był on dowodem prawdy i świadectwem tożsamości. Rzuci-
łem się ojcu na szyję, chociaż z daleka cuchnął pleśnią, mierzwą
i wszystkimi odorami brudu i nędzy. Ale ojciec odsunął mnie od sie-
bie prawie gniewnie.

- Odejdź! Śmierdzą.

A matka naskoczyła na ojca - że co on sobie myśli, gdzie on
był przez te wszystkie dni jak tu działo się tyle strasznych rzeczy
Nie mógł to chociaż dać znać przez kogoś że jest tu i tu. robi to
a to i że wróci wtedy a wtedy? W domu głód i szkarlatyna, lada
dzień się u matki zaczyna, a ojca sobie zwyczajnie nie ma! Jesz-
cze bębenkowiec tak schował że go nigdzie znaleźć nie można, a wy-
węszy byle niemiecki pies i wszyscy pójdziemy pod ściankę!

Ojciec na to, że rewolwer jest w dobrym miejscu, pod mos-
tem, na dnie Brdy, i że ~~ka~~ nikt go już nie dostanie w ręce, ani
obcy ani swój. Woda i muł skryły go przed wszystkimi.

Nie przekonał matki. - Człowiek - mówiła ze złością - czło-
wiek przez cały czas igra ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, dzień
noc nasłuchuje czy nie idą z psami węszyc, a ten sobie normalnie
wrzuca bębenkowiec do wody! Jakby to był papierek od cukierka, jak
by to był popiół z fajki. Dlaczego nie powiedział że wrzucił? Przez
te strachy i nerwy dziecko zapadło na szkarlatynę, a ona sama pra-
wie poroniła. I dlaczego przy okazji nie wrzucił do rzeki tej flin-

ty na dzikie świnie wuja Pawła? I ona, biedna, chora kobieta musiał wziać to na swoje barki?

A ojciec nic, tylko tak siedział na kuchennym stołku z rękami wciśniętymi między kolana i kiwał się, kiwał. Znowu był jakby nie ojciec, daleki, ^{dobry} odby i odrażająco niechlujny. Kiwał się i uśmiechał słupkowato do młynka na kawę przytwierdzonego do drzwi spiżarki. Siedział jak z watą w uszach; zdawał się nic nie słyszeć z tego co mówiła matka, jakby nie do niego ta mowa. Jego popodne osłupienie mroziło mnie; spostrządałem na tego człowieka porażonym wzrokiem i żaden gorący promień, żadna ciepła fala nie biła ode mnie ku tej wahającej się na trzeszczącym stołku krudce nieszczęścia. Nie tak wyobrażałam sobie powrót ojca i nie takie miało być jego powitanie. I nie tak pewnie ojciec wyobrażał sobie swój powrót do rodziny. Tkwił na stołku skamieniały, ale najbardziej chyba kamienna była moja matka. Jej twarz jak z gipsu; żaden nerw, żaden mięsień nie ożywił jej oblicza gdy tak przestawiała kastrołki na płacie, dolewała wody do trybla, przegarniała popiół w popielniku. Nawet gdy mówiła, jej usta otwierały się i zamykały jak mechaniczna żuchwa blaszanej kukły. Straszna i bezlitosna była moja matka w tym radosnym dniu powrotu ojca.

- Stencel - wyrzekała cierpko - Stencel, to chociaż pochrobotał w drzwi, dał znać że żyje. Wziął pędzel do solenia, poleciał Bogu żonę i Halinkę i poszedł sobie. Ty to byś na coś takiego nie wpadł.

Ojcu nagle rozeszły się kolana, a wetknięte między nie dłonie straciły oparcie i podążyły ku podłodze, pociągając za sobą orzbiety. Przez migawkową chwilę oglądał świat z żabiej perspektywy, z twarzą skierowaną w stronę matki, z zębami wyszczerzonymi jak u drapieźnika. Warknie? Zaszczeka? Kokaś? Ale wyprostował się, oparł plecami o ścianę. Przymknął oczy i znowu wsunął ręce między uda. Wyglądał jak wielki, straszny ptak szwukający się do drzemki. Ale nie zasnął, tylko westchnął i powiedział:

- Stary Nitz mnie wyciągnął.

Matce nie drgnęła powieka, więc dodał:

- W ostatniej chwili...

Ojciec nasłuchiwał, ale muszle jego uszu nie złowiły żadnego ssha. Matka milczała jak głucha i ojciec też jakby ogłuchł. Popadł w zapaść jakąś, w odrętwienie, w kataleptyczny bezruch zakreślonego niebezpieczeństwem owada. Cicho i drętwo przycupnął w środku siebie, a to co widoczne, ubranie, skóra, cała zewnętrzna, fizyczna podobizna ojca, było tylko opakowaniem jego właściwej, rzeczywistej istoty. Wpełznął w siebie tak całkowicie, że zdawało się, wpiersz trzeba najprzód rozsznurować jego powłokę by spod niej, jak ze szczelnego kombinezonu, wyłoniła się prawdziwa, nie zafałszowana wojną postać ojca. Niepokojąco długo trwał w tej nieswojej skorupie aż w końcu, nieoczekiwanie, ocknął się i rozpoczął swój monolog. Swoją wielką Improvizację. Ojciec, zda się, powrócił z jakiejś egzotycznej podróży. Nasycił się widokami dalekich lądów, poznał klimaty całej Ziemi. Przemierzył morza i oceany, zakosztował tropikalnych owoców i pojął mądrość ludów na Antypodach. A teraz zatęsknił do swojskich kątów i pragnie oddać się codziennym, prostym zajęciom. Wpierw nabije obręcz na beczce do kiszanej kapusty. Potem wymieni trzonek na sztukaczu, tej mechanicznej ssawce-kijance, tak że gdy ciocka Hulda przyjdzie prać, wszystko będzie gotowe. Po dawnemu wysutka bieliznę do białości, w tej balii, co to ją też, na dobrą sprawę, trzeba uszczelnić. Na wiosnę zmieni ziemię w balkonowych korytkach i zasadzi nie petunie jak co roku, apelargonie - raz przynajmniej inaczej. Nic już nie będzie takie samo jak dawniej. Właściwie - mówił ojciec - to on się czuje jakby umarł i narodził się od nowa. I zaraz wszedł w nowe życie jak w ogień. Może to jest ogień czyścicowy, bo nagrzeszył w poprzednim życiu niemało i należy mu się kara. Cały naród przechodzi męki czyścicowe, pan Bóg wziął się na nas, a przecież nie jesteśmy najgorsi. Nie myśmy poszli za-

bierać cudze, tylko broniliśmy swego. A teraz pokazują nas światu jak dzikie bestie, jak stworzenia bez czci i wiary i sumienia.

Mówił też ojciec że nie poznaje Niemców. Tacy dobrzy ludzie, tacy czysti i zamożni, tacy zawsze grzeczni. Co oni z siebie zrobili? A to ich tak zepsuła? Za Wilusia - wspominał ojciec - za Wilusia i tej tu Polski co ja teraz zamęczyli, wszyscyśmy siedzieli jeden obok drugiego, po sąsiedzku, że i zapominało się kto Polak a kto Niemiec. Żyło się samemu i pozwalało żyć innym. Nikt nikogo nie wyzywał, nie lżył i nie wytykał palcem. Chyba że te Antki z cienłych stron, co to im się zdawało że są bardziej polscy niż sam sam Marszałek. Ale Antki to Antki a Niemcy to Niemcy. Za tamtej wojny, jak służył w pierwszej półflotyli na kontrtorpedowcu, to nikt nie robił różnicy. Polak, Litwin czy Kaszuba, Ślązak czy Alzateczyk, wszyscy byli na równych prawach i każdemu, jeśli tylko na to zasłużył, dawali Eka zwei z czarno białą szlajfką. Jeść też dawali równo i dokładki ile kto chciał. Bez pytania skąd pochodzi i kim jest. Wszyscy jednakowo pomagali Wilusiovi przetrwać tę wojnę to i jednakowo byli traktowani. A po kapitulacji to kapitan kontrtorpedowca nie chciał się z ojcem rozstać. - Podobacie mi się, ~~xxxx~~ steward - miał powiedzieć - Usługiwałem mi na okręcie, to i możecie u mnie usługiwać do stołu. Mam w Brazylii wielką plantację kawy, przez całe życie możecie pływać w mokce ze śmietaną. Wyswatam was z jakąś jurną mulatką, wywianuję i żyć, nie umierać. - Dziękuję - ojciec ponoć na to - Wracam do swoich. W domu czeka mnie Aniela, a murzynkom przypatrzyłem się dobrze w Hamburgu, w tym Sankt Pauli. Straszne z nich blirwy i pacierza mówić nie umieją. - Będziecie żałować - kapitan na to - wspomnicie moje słowa. No i ojciec ~~wspomni~~ wspomni. Byłby już teraz miał własną plantację - mówił - Byłby już teraz kimś i mógłby na Niemców gwizdać. I na wszystko by gwizdał, na wszystko...

Matka na to, że ojciec i tak całe życie przegwizdał, do niczego

go nie doszedł, tylko brał tę emeryturę, brał, jak jaki niedołęga. Nawet żonie i dziecku nie umiał postawić domku z altaną, a tylu innych wybudowało sobie wille z berlińskimi oknami, a ich dzieci kulają się w ogrodach na strzyżonych trawnikach. Plac to kupił na Jachcicach, ale co dalej, o tym już nie pomyślał.

Ojciec już tego nie słuchał. Przybył z innego wymiaru, wyłonił się jakby z drugiej strony lustra, gdzie świat pozorny jest odwrotnością świata rzeczywistego. Nagle przestało go interesować co dzieje się w czterech ścianach kuchni i pokłusał się korytarzem do sypialki, a stamtąd do kąpielki. Słyszeliśmy z matką, jak ojciec czyścił drucianą szczotką palnik gazowego piecyka. Jak napuszczał wodę do wanny i jak brzęknęła o krawędź wanny sprzączka od pasa. Ojciec rozbierał się i matka, wsłuchana w odgłosy dochodzące z kąpielki, położyła ręce na swym kopiastym brzuchu i jęknęła:

- Kto to wszystko wypierze?

Myślałem że matka wyszoruje ojca, namaści olejkami i oblecze w świeżą, szeleszczącą kartoflaną mączką koszulę. I że raz jeszcze, jak zawsze, zacznie się ten wieczny spór o nieboszczkę Anielę. O to, żeby odwrócić ją twarzą do ściany, żeby z za grobu nie patrzyła na gołą sromotę ojca. Nieboszczka Aniela nie powinna była wisieć w kąpielce nad wanną. Nie powinna uczestniczyć w intymnym życiu rodziny. W ogóle nie powinna istnieć. Jej rola skończyła się raz na zawsze z chwilą, gdy pan Bóg zabrał do grona swych aniołów Heniusia, Karelką i Helcię. Dzieci poszły za matką, wezwała je do siebie, nie ją już z tym domem nie łączy. A ona wciąż tu pokutuje. Jak nie w jadalce, to na korytarzu. Jak nie w korytarzu, to w kąpielce. A wystawiła matka Anielę na balkon, tam by sobie mogła spokojnie stać i wilgotnieć. Ale ojciec wścickł się. Grzyb - mówił - za szkło wejdzie! Splesnieje Aniela i co? To jedyny jej portret. więcej fotografek nie ma, ostatnia to pamiątka po pierwszej żonie nieboszczce.

I wisi teraz ciocia Aniela nad wanną i matka wstydzi się przed nią rozbierać; boi się że jej złe oczy wciągną ją pod wodę. I dlatego podczas kąpieli matka wieszka Anielę szkłem do ściany. A ojciec przychodzi z zakasanyimi rękawami, odwraca obraz frontem do ludzi i szoruje matce plecy szwanką. I chłapie straszliwie; pełno mydlin na ścianie, na brwiach i na koszuli. Nie będziesz mi tu - mówi - nie będziesz beszcześcić Anieli! Była dobra dla mnie, musi być i dobra dla ciebie. Szlus raz na zawsze z tymi faksami! Aniela wisi frontem i będzie wisieć!

Matka coś tam dla ojca szykowała, jakąś zalewajkę czy co. Kartofle, jeszcze z obiadu, smażyła na starym topionym maśle. Myślałem sobie:

ojciec już wrócił, a co z małą Melechówną? Może tam gdzie ona jest, może tam trwa jeszcze Polska? Może tam biją się jeszcze polscy żołnierze? I wróci tutaj mała Melechówna na ułańskim koniu i wybijając będzie na ~~wybiegających~~ trąbce zamaszyste capstrzyki? A za nią szwadrony, szwadrony, szwadrony. Jak na niedawnej bydgoskiej defiladzie.

Ach, co to była za defilada! Co to było za święto! Te lance jak włosie gigantycznej stalowej szczotki. Ten jasny klanger tysięcy podków dzwoniących na bruku. To parskanie koni i ciepła stajenna woń wlatująca ku przepełnionym oknom i balkonem. Polne kwiaty w lufach kawaleryjskich karabinków. Oklaski i powiewające chusteczki. Orkiestry na Placu Wolności przed trybuną z generalicją i marszałkiem Rydmem-Śmigłym. I ten strach nasz, ojca i mój, że ciocia Monisia przedrze się przez kordony żandarmerii pod trybunę i zażąda od marszałka wcielenia jej do formacji żywych terped! To by do niej pasowało. Ładnie by ojciec na tym wyszedł; od razu mógłby się pożegnać z garbarnią, z tymi czterema co miał ich pod sobą i z deputatem zelówkowej skóry. Ale ciocia Monisia siedziała w domu pod kluczem, pilnie strzeżona przez Babusię Rzechotkę. Emilii Pla-

ter - mówiła Babusia Rzechotka - to nam tu ~~nie~~ w domu nie trzeba. A kto będzie nacinać pilniki? Kto zarobi na chleb? Z czego będą ~~z~~ jak ciocia da się wystarzyć w powietrze?

Matka stanęła pośrodku kuchni z dymiącą patelnią i cała zamieniła się w słuch. -Coś za cicho jej w tej kąpielce?...Ojciec zawsze chlapie się jak dzika kaczka że aż przecieka do Batków, a dzisiaj ~~on~~ siedzi w wodzie niby trusia. Poszła zobaczyć co tam się z ojcem dzieje.

A ja wyjadałem z patelni na wózek zwęglone ziemniaki i pociągałem z warząchwii zalewajkę. Coś ostatnio baedzo smakowała mi zalwajka, a przecież ~~coś~~ takiego ^{coś} jedzą tylko szewcy i inna chełota. Matka wróciła z kąpielki. Wszystko w porządku - powiedziała - Ojciec siedzi tak cicho bo chce się dobrze wymoczyć w ciepłej wodzie. Jest na plecach cały siny i zielony, powiada że spadł ze schodów. Ale on zawsze taki niezdara, nie warto się nawet temu dziwić.

W tym dniu już ojca nie widziałem. Nawet nie tknął kolacji, tylko cicho i potulnie wluł się pod pierzynę i już go nie było. Matka poszła do kąpielki zobaczyć czy w tej wodzie po ojcu dałoby się coś jeszcze przeprać. Ale nie, nie dało się. Odetkała wannę i zabulgotała w rurach jak w pustych jelitach.

Kiedy kładłem się spać, ojciec leżał na wznak i chrapał. W jego niedomkniętych ustach kołatał suchy język jak grzechotka okularnika. Przebierał palcami po pierzynie niby pianista, a matka przyjrząwszy się temu, powiedziała:

- Z tańców wrócił czy co?

Potem i ona się położyła. Słyszałem jej ściszoną modlitwę. Prosiła Boga o to, by i tej nocy jeszcze się u niej nie zaczęło. Żeby trochę później, za jakiś czas, aż nabierze sił i dojdzie do równowagi. Aż ojciec zarobi na życie. Zasnęła dość szybko i razem już, matka i ojciec zgodnie piłowali nocne zagaje snu.

Chrapanie rodziców wytrącało mnie ze śpiku. Snułem się po



bezsennych otchłaniach i zapadałem wraz z łóżkiem w przepaście bez dna. Aż wreszcie to, co dotąd odbierało mi sen, teraz podziałało jak napar z maku: kwik bitych u Frohwerka świań, pierwszych bodaj od rozpoczęcia wojny. Dobrze że zarzynają ^{świnie} a nie ludzi - pomyślałem. Błogo uwiłem sobie gniazdo w pulchnym spodku i nakryłem po uszy pierzyną.

Rano, nie wiem jakim sposobem, znalazłem się w łóżku obok ojca. Oparty na łokciu, przyglądał mi się jak komuś nowemu. Pewnie ten jego wzrok obudził mnie i otrzeźwił. Tak, teraz był to już mój ojciec, ten sam, jakiego znałem na codzien sprzed jego tajemniczej nieobecności. Przyglądał mi się i mrużąc oczy jakby mu kto nasypał piasku pod powieki, dziwił się:

- Naprawdę jestem w domu? Czy mi się tylko śni?

W szczycie łóżka pojawiła się matka z marynarką ojca i ze szczotką.

- No zobacz tylko co z ojca za glajda! - potrzasała przede mną marynarką. - Cała kłapa unurana w kredzie! I cały lewy mankiet!

- Wytarłem rękawem - bronił się - A czym miałem wytrzeć...

- A tu, na plecach? Ten krzyż?!

- O Jezu! - jęknął ojciec i wcisnął pięści do oczodołów - Tego na plecach to ja nawet nie wiem kiedy mi zrobili...

Z przewieszoną przez ramię marynarką ojca, matka podeszła do okna i w milczeniu skubała frędzle firany.